

ROZMOWA Z PANEM LUCJANEM MACIEJEWSKIM, PSEUDONIM "MERIN",
PRZEPROWADZONA W LUBLINIE W DNIU 13 STYCZNIA 1990 ROKU

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Urodziłem się w 1915 r. W 1938 r. zakończyłem służbę wojskową. Początkowo służyłem w kawalerii wojskowej w Arasniku. Po reorganizacji w Arasniku po dwóch miesiącach zostałem skierowany ze szwadronu szkolnego w Arasniku do szkoły w Wilnie. W Wilnie służyłem przez sześć miesięcy w VII Szwadronie Pionierów - była to konna, zajmująca się budową mostów. Po półrocznym okresie przeszkolenia zostałem skierowany do XI Szwadronu Pionierów w Augustowie. W Augustowie odbywałem służbę wojskową już do końca jako podoficer służby czynnej. Jesienią 1938 r., po odbyciu służby wojskowej, zostałem zwolniony z wojska.

Ojciec mój w tym czasie pracował w elektrowni jako pomocnik elektromontera. Mój młodszy brat pracował w LWS- ie, tam był wyzwolony na czeladnika. Najmłodszy brat, Kazik, uczył się w szkole mechanicznej Arupskiego. W późniejszym czasie, będąc w ostatniej klasie, naukę przerwał.

Ubiegałem się o zatrudnienie. W tym celu napisałem dwa podania o pracę - do pana Laszkiewicza z LWS-u i na kolej. Obydwa podania zostały rozpatrzone pozytywnie. Jednak po naradzie z rodziną zdecydowałem się podjąć pracę na kolei. W lutym 1939 r. zostałem wysłany na miesięczne przeszkolenie do Radomia. Po miesiącu skierowano mnie do Dębli. Byłem pracownikiem fizycznym w policji kolejowej.

Już po wybuchu wojny wstąpiłem do Związku Walki Zbrojnej. Działalność w ZWZ w tym okresie sprowadzała się do przekazywania ulotek. Ulotki po przeczytaniu niszczyliśmy.

W ramach mobilizacji skierowano mnie do wojska do Hrubieszowa.

W Hrubieszowie zostaliśmy umundurowani i już następnego dnia wysłano nas na front. Znalazłem się w dywizyjnym zwiadzie konnym. Po dołączeniu do II Szwadronu Kawalerii toczyliśmy potyczki z Niemcami. Potyczki były różne - były takie, gdzie nie odnosiliśmy strat w ludziach, lecz bywały także i takie, gdzie ginęliśmy. Walczyliśmy w Uściługu, we Włodzimierzu, pod Kockiem. Później zostaliśmy rozbici. Za nami, od strony Związku Radzieckiego, szło wojsko sowieckie. Wprawdzie Niemcy chwilowo odsunęli się od nas, jednak z tyłu mieliśmy Rosjan.

Wobec takiego rozwoju sytuacji z grupką kolegów próbowaliśmy przebić się do Zamościa. Kawalek ujechalismy konno, dalej jazdy konnej nie mogliśmy już kontynuować. U gospodarza zostawiliśmy konie, siodła i karabiny. Szliśmy dalej pieszo. W Zamościu było już masę wojska radzieckiego. Sowieci rozbijali nasze wojsko. Broń składali na kupę, a żołnierzy przeglądali. Żołnierzom sprawdzali głównie ręce. Starsi koledzy pouczyli nas, aby mówić, że mieszkamy w odległości dwóch wiosek stąd. Tylko wówczas zostaniemy puszczeni. Kiedy sprawdzali nas, zapytali, gdzie mamy broń. Odpowiedzieliśmy: "wasi żołnierze już nam wzięli". Po dokładnym przeglądzie rąk oraz sprawdzeniu naszego ogólnego wyglądu, pozwolili nam iść do domu.

Razem z nami był porucznik, który pochodził z Zamościa. Prochę go przebraliśmy, aby nie wyglądał na oficera. Porucznik miał ze sobą ordynansa, który pochodził z Poznańskiego. Po wycofaniu zdecydował się razem z ordynansem iść na Zaleszczyki. Dołączył do nich podchorąży z rodziny Zamoyskich. Podchorąży nie chciał wrócić do domu, ponieważ czuł się upokorzony kapitulacją. Ze mną pozostał Olek Szabała z Rur okolic Piasek i Wójcik z Rur pod Dublinem. Zamierzaliśmy wrócić do domu

i znaleźć jakąś pracę. Z Olkiem dostaliśmy od porucznika po sto złotych. To było dość dużo pieniędzy, jednak dysponując nawet taką sumą, trudno było kupić jakąkolwiek żywność.

W Zamościu spotkałem znajomego rzeźnika z Lublina. Altman poznał mnie. Nie mieliśmy nic do jedzenia, chcieliśmy kupić trochę chleba. Rzeźnik przedstawił mnie mężczyźnie, który obiecał nam załatwić kupno chleba. Zgodził się zabrać tylko jednego z nas. Udałem się z nim do jakichś budynków w Zamościu, gdzie dostałem dwa bochenki chleba. Chleb był prosto z pieca, aż parzył, gdy schowałem go za pazuchę. Wróciłem do Olka. Odeszliśmy daleko w krzaki. Gorący chleb poćwiartowałem kozikiem, takim nożykiem w drewnianej oprawie. Posileni, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Doszliśmy do Kazimierzówki pod Lublinem. W Kazimierzówce gospodarze mówili, iż Niemcy obstawili wiele punktów. Wyłapywali idących w kierunku Lublina Polaków i zabierali ich do garaży wojskowych do DWS-U. Ponieważ byliśmy w mundurach, wójcik poradził, aby przebijać się przez krzaki. Spotkaliśmy gospodarza na drabiniastym wozie, jadącego po liście. Zgodził się nas zabrać. Na furę gospodarz nakładł liści i dokładnie nas przykrył. Spod liści wystawały nam tylko głowy. Dzięki temu dostaliśmy się do Wrotkowa. Poprosiliśmy gospodarza, aby nas przebrał. W zamian za wojskowe ubranie dał mi króciutką marynarkę, spodnie i buty. Nie dostałem jednak innej koszuli. W to miejsce gospodarz dał mi szalik. Pomimo że było ciepło, szalik owinąłem wokół szyi, zakrywając w ten sposób koszulę wojskową. Ten gospodarz żył jeszcze dłuższy czas. Później widywałem go jako dorożkarza w okolicach ulicy Warutowicza, wymienialiśmy

pozdrowienia i wzajemne ukłony.

Kolega poszedł na Rury. Przez łąki koło Nowej Drogi (obecną Świerczewskiego) doszedłem do kościoła Garnizonowego. Zobaczyły mnie dwie sąsiadki, były to dziewczyny młodsze ode mnie może o dwa lata. Dały znać mojej matce, że żyję. W końcu doszedłem do domu na ulicę Snopkowską, gdzie mieszkałem razem z rodzicami. Po powrocie do domu rozebrałem się i umyłem. Umyłem z siebie mnóstwo brudu. Od żółtej skóry hełmu, od tego potu, pośliznęła mi głowa. Matka nawet sądziła, że jestem chory na żółtaczkę. Jednak to nie była choroba, to po prostu był tylko brud.

Po kilku dniach pobytu w domu zameldowałem się na stacji PKP w Lublinie. Zgłosiłem się do zawiadowcy stacji, pana Milewskiego. Ponieważ w tym czasie było duże zapotrzebowanie do reperowania dróg, pracowałem jako drogowy. Naszym torowym był Zieliński. Syn Zielińskiego był lotnikiem, walczył w Anglii. Zielińskiemu zrobiło się nas żal. Zawsze dawał nam jak najbliżej i trochę lżejszą robotę.

Na kolei pracował porucznik "Dąb". Jego nazwiska nie znam. Był to wysoki, szczupły mężczyzna. "Dąb" wprowadził mnie do konspiracji. Przyszedł do mnie i powiedział: "Wiem, że służyłeś w wojsku. Dobierz sobie jeszcze czterech kolegów, aby było was pięciu!". Dobrałem sobie kolegów. Nie pamiętam już, gdzie umówiliśmy się, jaka to była ulica. Przyszliśmy na umówione spotkanie i tam złożyliśmy przysięgę. Każdy miał wyznaczone zadanie. Porucznik "Dąb" umawiał się z każdym z naszej piątki, jednak najwięcej spotykał się ze mną. Dokładnie nie wiem, jakie zadania wyznaczał "Dąb" kolegom. Nigdy nie miałem ochoty

wypytywać o to. Porucznik dał mi pseudonim "Merin". Przez cały czas używałem właśnie tego pseudonimu, nie zmieniając go. Miałem jeszcze drugi pseudonim - "Trzy Piątki" - jednak wiedział o nim tylko jeden kolega. Mieszkałem na ulicy I-go Maja 55 mieszkania 5. Utrzymałem tam małe mieszkanie po hotelu, w którym mieszkałem z żoną. Ożeniłem się podczas okupacji. Pseudonim "Trzy Piątki" pochodził właśnie stąd, iż mieszkałem pod trzema piątkami.

Kiedy Niemcy uderzyli na Związek Radziecki, zaczęli bardziej kontrolować pracowników. Sprawdzali w naszej ewidencji, co robiliśmy przed wojną. W tym czasie ja i moi koledzy zostaliśmy wezwani na policję kolejową. Pytali, czy pracowałem u nich. Do potwierdzenia tego faktu dano mi kilka dni czasu. Ustalono termin, kiedy mam zgłosić się do nich do pracy. Ponieważ należałem do Związku Walki Zbrojnej, pełen obaw, udałem się do porucznika "Dęba", aby powiedzieć, że zostałem wezwany na policję kolejową. Porucznik "Dąb" uspokoił mnie: "To nie tylko ty. Również i inni zostali wezwani". W wyznaczonym terminie zgłosiłem się do policji kolejowej. Wypełniałem ankietę, w której odpowiadałem na pytania, czy należę do partii, harcerstwa i innych organizacji. Przyznałem się jedynie do przynależności do klubu sportowego. Kiedy powiedziałem, iż działalność w klubie polegała na graniu w piłkę i boksowaniu, ankietę podpisali. Za parę dni, po uzgodnieniu z dyrekcją, wezwano mnie do nowej pracy. Od tej pory pracowałem w policji kolejowej, cały czas należąc do ZWZ.

Porucznik "Dąb" wiedząc, iż przed wojną byłem dobrym pionierem, przydzielił mi dość odpowiedzialne zadanie. Już po wymówieniu Sowiecom wojny, dostawałem ampułki wybuchowe.

Ampułki łączyłem z takimi gumkami. Jeżeli na ampułce była założona grubsza gumka, wybuch następował po czterdziestu ośmiu godzinach, jeżeli gumka była cieńsza, ogień wybuchał po dwudziestu czterech godzinach. Zawsze obliczałem, gdzie może nastąpić wybuch i w zależności od tego dobierałem odpowiednią grubość gumki. Od czasu do czasu ampułki podkładałem podczas patrolu razem z kolegą. Jeżeli nie pracowałem, korzystając z tego, że miałem prawo swobodnego wstępu na kolej, ampułki podkładałem sam. Transporty z sianem i ze słomą szły do Związku Radzieckiego po torach zapasowych, tzw. damskich. Kiedyś zdarzyło się, że transport konwojował niemiecki begleiter, który lubił popić. Gdy usnął, cały transport spłonął razem z nim. Zadanie z ampułkami trwało przez dłuższy czas.

Pod koniec porucznik "Dąb" podobno otrzymał przeniesienie do Rozwadowa. Ja pozostałem w Lublinie. Od tej pory "Dąb" rzadko przyjeżdżał do Lublina, widywaliśmy się niewiele. W tym czasie miałem kontakt ze "Skorpionem" i z Zenkiem Nowakiem. Zenek Nowak był technikiem kolejowym. Później dłuższy czas Nowaka nie widziałem w Lublinie.

"Skorpion" to pseudonim Stanisława Winiarskiego. Razem ze mną chodził do szkoły. Mieszkał w malutkim domku na ulicy Północnej, jego ojciec był bednarzem. Zwrócił się do mnie, abym przerzucił go do Motycza. Po jakimś czasie "Skorpion" prosił, żebym przerzucił do Warszawy dwie kobiety z dzieckiem na rękę oraz mężczyznę. Na skutek nie przewidzianych trudności, przerzuciłem tylko kobiety z dzieckiem. Przerzutu mężczyzny nie podjąłem się. Tak się złożyło, iż akurat w dniu zaplanowanego przerzutu, zjawiała się żandarmeria i gestapo. Nawet policja niemiecka musiała im ustąpić. Pokazywano zdjęcie poszukiwanego

mężczyzny. Był nim człowiek, którego miałem właśnie przerzucić. Tego dnia wycofałem się z akcji. Ludzi tych ulokowałem na me-
linie u kolegi, gdzie przenocowali. "Skorpionowi" dałem znać,
że zgadzam się tylko na przerzut kobiet z dzieckiem, przerzutu
mężczyzny nie podejmuję się. Poprosiłem o pomoc kolegę, który
odwiózł kobiety do Dębłina. Z Dębłina do Warszawy było już
łatwiej dostać się. Pomoc tym ludziom uważałem za swój obowią-
zek.

Po dwóch lub trzech tygodniach od tego przerzutu "Skorpion"
przedstawił mnie panom Dąbkowi i Pawłowskiemu. Bolesław Pawłow-
ski, pierwszy starosta Lublina, przychodził do ojca Lutka
Fiutki, jego nazwisko więc było mi znane. O tym, że drugim
mężczyzną jest Paweł Dąbek, nie wiedziałem wówczas. Obydwaj
mężczyźni osobiście dziękowali mi za pomoc w przerzucie kobiet.
Później od "Skorpiona" dowiedziałem się, iż ten mężczyzna,
przerzutu którego odmówiłem, był wysłany przez Hartwinga
z meblami. Hartwing był folksdojczem, ale pracował dla Związku
Radzieckiego. Po jakimś czasie wyczytałem w gazetach, że Hart-
wing przyznał się. W Lublinie zamknął zakład fotograficzny
i znalazł się na terenach zachodnich, gdzie otworzył firmę
transportową.

Nocą z 5/6 grudnia 1943 r. "Skorpion" został aresztowany
przez gestapo. W dwa dni później gestapo aresztowało "Salezjan-
ka". Nazwiska "Salezjanka" nie znam. Jego pseudonim pochodził
stąd, iż chłopak uczył się u Salezjanów. Obydwaj zostali za-
mordowani przez gestapo. Od jednej pani dowiedziałem się, że
chłopcy zostali spaleni na Zamku. Prochy "Skorpiona" przekaza-
no w pudełku starszej siostrze, Lisowskiej po mężu, która
zajęła się pochówkiem. Grobu Stasia Winiarskiego długo nie

mogłem znaleźć. Dzięki pomocy kolegi wiem, że grób Stasia istnieje. Początkowo grób był mały, później został poszerzony. "Skorpion" i "Salezjanek" zostali pochowani na cmentarzu przy ulicy Unickiej. Na ich grobach widnieje napis "żołnierz AK".

Po wyzwoleniu i wejściu Rosjan, poszedłem do domu Winiarskich, aby dowiedzieć się, jak doszło do aresztowania Stasia. Powiedziano mi, iż przyszło do ich mieszkania dwóch gestapowców, którzy przyprowadzili ze sobą chłopaka. Chłopak pochodził z Lubartowa, był wysoki, miał ryże włosy. W Lubartowie był kierownikiem tartaku. Wsypał wszystkich chłopaków, u których nocował. Brata "Skorpiona", Bronka Winiarskiego, nie wskazał. Bronka Niemcy zostawili w spokoju.

O "Salezjanku" słyszałem, że miał maszynę, na której pisał ulotki. Prawdopodobnie ulotki dawał także temu chłopakowi z Lubartowa. "Salezjanka" aresztowali w dwa dni po "Skorpionie".

"Skorpionowi" pożyczyłem zdobytą parabelę, której potrzebowałem do wykonania jakiegoś zadania. Parabelę ukrył Staś w psiej budzie. Winiarscy powiedzieli mi: "Byli, zajrzeli do psa do budy i parabelę zabrali". Wówczas poczułem się zagrożony. Bałem się, że "Skorpion" z "Salezjankiem" mogą wsypać. Na tej podstawie przypuszczałem, iż jestem spalony.

Uprzedziłem wszystkich kolegów, u których nocowałem. W dniu swojej ucieczki zwróciłem się do kolegi: "Powiedom Leonka, że ja jestem spalony. Nie wiem, kto wydał. Niech powiadomi innych". Leonek miał pseudonim "Lis".

Mój kolega Lucjan Piutko, który miał kontakt ze "Skorpionem", natychmiast uciekł do Zakrzówka. W Zakrzówku miał kuzyna, który należał do organizacji. Kuzyn nazywał się Paprota, był

piłsudczykiem. Z poprzedniej wojny pozostała mu duża blizna postrzałowa. Paprota był komendantem kominiarzy. Zdaje się, że Fiutków było pięcioro: dwie siostry i trzech braci. Jeden brat Lutka, Heniek, zginął na Majdanku. Lutek, pseudonim "Orzeł", wraz z młodszym bratem trafił do oddziału "Małego".

Ja trafiłem do oddziału "Szarugi". Po dłuższym czasie mojego pobytu w oddziale "Szarugi", oddział "Małego" znalazł się w niewielkiej odległości od nas. Poprosiłem wtedy dowódcę, aby udzielił mi zezwolenia na pojechanie do oddziału "Małego". Pojechalismy tam konno wraz z małym Tomaszem. Zastałem "Orła", jego brata, Kazika Białka i jeszcze kilku innych kolegów z Lublina. Koledzy ucieszyli się, że ich odwiedziłem. Mały Tomek, który pojechał ze mną, służył w moim plutonie. Był młody, miał nie więcej jak siedemnaście lat. Był bardzo grzeczny, jego nazwiska nie znam. Później Tomek przeszedł do "Zapory". Rozmawiałem o nim z "Duchem". Był chory na serce, dostawał silnych ataków, nie wytrzymał. Podobno zginął, nie wiem, gdzie.

Proponowano mi przydział do oddziału w innym okręgu. Prosiłem, aby dano mnie na teren Lubelszczyzny. Dzięki temu, że miałem tu wielu znajomych, których pseudonimy znałem, ułatwiało mi to możliwość kontaktu z nimi. Zostałem skierowany do oddziału "Szarugi". Do "Szarugi" trafiłem za pośrednictwem Basi. Kontakt z Basą nawiązałem przez Leonka i "Albatrosa". "Albatros" to pseudonim Mariana Krawczyka. Był dyrektorem "Lubgálu". Basa była dziewczyną średniego wzrostu, kręłą. Ubrana była w spodnie i buty narciarskie. Mielismy dojść do kościoła w Konopnicy i skontaktować się na umówione hasło. Szliśmy szosą. W Konopnicy Basia przekazała mnie "Śmiałemu", który był szefem u "Szarugi".

"Śmiały" doprowadził mnie do Turskich. Tam wzięto ode mnie

dowód osobisty i służbową legitymację kolejową. U Turskich zjedliśmy kolację i przenocowaliśmy. Było to w okolicach Nowego Roku - pierwszego lub drugiego dnia stycznia 1944 r. Następnego dnia Turski pożegnał się z obydwoma synami i ruszyliśmy do oddziału.

Chłopaków zbierał Oles. Było to już pod wieczór. W małym domku pod lasem, krytym strzechą, znaleźli się ze mną bracia Turscy, "Żaba", porucznik "Danek". Przenocowaliśmy. Złożyliśmy przysięgę, którą przyjął Oles. W ten sposób staliśmy się oddziałem. Ruszyliśmy na zimowe stanowiska. Mam wrażenie, iż całym tym oddziałem kierowali Turscy. Turscy mieli album, w którym spisywali nasze pseudonimy, prowadzili kartotekę. Kiedy Turscy wpadli pod Marysinem, ich matka wszystkie te dowody zniszczyła.

Dowódca "Szaruga" był mały, wesoły, bardzo przyjemny. Oles każdą decyzję dokładnie przemyślał, często naradzał się z najbliższymi kolegami. Gdy Oles prowadził oddział, chłopcy nie ginęli. Wszystkie przedsięwzięcia podejmował rozważnie, starając się, aby ludzie nie stracili życia. Kilka razy bywaliśmy tak przyparci do muru, że inny dowódca na jego miejscu przyjąłby walkę. "Szaruga" w takich wypadkach rezygnował z walki, decydując się na wycofanie.

W motyczu oddział nasz brał udział w rozbrajaniu Niemców. Pociąg stał na bocznych torach już drugi czy trzeci dzień. Sądziliśmy, że w wagonach znajduje się amunicja. Działo się to wieczorem, było bardzo mroźnie. Jeździłem wtedy paroknką. Pierwszy dostałem karabin. Ruszyłem na punkt kolejowy. Po wejściu do budki, zastałem tam dwóch kolejarzy. Powiedziałem: "Wszystko możecie robić, panowie. Służba może dzwonić. Nie

wolno wam tylko zawiadamiać Lublin, że coś tutaj się dzieje". Kolejarze nic nie odpowiedzieli, wymienili tylko między sobą spojrzenia. Nie wiem, czy mnie poznali, nie byłem przecież w mundurze kolejowym. Ubrany byłem w ciepłą grubą czapkę i kożuch. Możliwe, iż ten strój sprawił, że nie rozpoznali mnie. Być może spowodował to ich strach. Wszystko przebiegało spokojnie i grzecznie. Kiedy kolejarze odbierali telefony, znajdowałem się w pobliżu i kontrolowałem sytuację.

Wcześniej poradziłem kolegom, aby zabrali ze sobą latarki kolejowe. Dzięki temu ochrona niemiecka niczego nie podejrzewała, ponieważ od czasu do czasu kolejarze polscy dokonywali rutynowego przeglądu stacji. Bez strażu chłopcy rozbili i zdjęli stojącego na posterunku Niemca. Następnie odsunęli wagon. Niemcy leżeli na kółkach. Z łatwością udało się chłopcom rozbicić zaskoczonych Niemców. Zapytałem dowódcę, co jest w wagonach. "Szaruga" ze wściekłością odpowiedział, że jest tylko amunicja artylerii. Wtedy poradziłem dowódcy: "Panie poruczniku, weźmy maszynę do tyłu. Przejedziemy z tyłu i - na Lublin!" Dowódca zganił mnie: "Co ty, chcesz ludzi wybić!". Na skutek tych słów opamiętałem się. Pomyślałem: "Przecież i moja rodzina jest blisko. Gdy tylu ludzi pójdzie na stację, co to będzie?". Dowódca wydał rozkaz wycofywania się. Wycofaliśmy się. Oleś wkrótce zaśpiewał piosenkę, rozkładając całe napięcie i rozczarowanie.

Kiedy "Opal" dał znać, że Niemcy będą wieźć cukier, byłem pierwszym, który zatrzymywał samochody. Jak później okazało się, była to pszenica, cukru było prawdopodobnie tylko trochę. Szefem był "Śmiały", znajdował się z erkaemem po lewej stronie. Ja z ludźmi byłem po prawej stronie w lesie. Oleś był gdzieś bardziej w środku.

Gdy nadjechało sześć samochodów, "Śmiały" wycelował z erkaemu w motor. Arzyknąłem do Niemców, aby poddali się. Niemcy zaczęli trochę strzelać, jednak niektórzy nawet nie zdążyli wyciągnąć karabinów. Uciekali za samochody. Ponieważ z rowu nasi ciągle celowali w nich, Niemcy szybko poddali się. Jeden Niemiec został trafiony, był ranny. Najtrudniej poszło nam z ostatnim. To był własowiec, miał ze sobą erkaem, rosyjski "Dikterow". Unieszkodliwili go ludzie "Opala". Rozbroiliśmy wszystkich Niemców. Pozwaliśmy im naprawić uszkodzony samochód i szybko odjechać z tego miejsca. Strasznie nam wtedy dziękowali, że ich nie rozstrzelaliśmy. Dowódcę prawie całowali po rękach. Powiedzieliśmy im: "My nie walczyliśmy z wojskiem. Walczymy z gestapo i z tymi, którzy strzelają do niewinnych ludzi".

Zdarzało się, iż na skutek nie przewidzianych okoliczności, zmiana decyzji następowała często w ostatniej chwili. Tak było na stacji w Leśniczówce. W Leśniczówce ^{organizowaliśmy} obstawę, zwaną przez nas "sztraichą". Kiedy przyszedł pociąg, wszyscy byliśmy pochowani. Ktoś nas powstrzymał, uprzedził, aby nie robić tej "sztraichy". Pociąg przejechał nie zatrzymany. Dobrze, że zostaliśmy powstrzymani, ponieważ nie dalibyśmy rady.

Również na Sporniaku "Szaruga" nie przyjął walki. Na Spornia-ku z samego rana zaczęło coś huczeć. Chłopcy wychodzili nawet na drzewa, aby zobaczyć co się dzieje. Główną drogą jechały samochody niemieckie. Natychmiast ogłoszono alarm. Byłem wtedy w pierwszym patrolu, znajdując się najbliższej nieprzyjaciela. Dowódca wydał rozkaz, aby nie podejmować żadnej walki. Mieliśmy iść wolno w pogotowiu obok fur. Dowódca rozkazał: "Fury, konie i wyjazd! Co trzydzieści metrów jedna fura od drugiej. Jechać pomaleńku, żeby nie było strachu!" Powoli wycofaliśmy się. Przed Jeźźycami wszyscy siedli na wozy. Było przynajmniej

piętnaście fur. Po przejechaniu przez Bełżyce, trafiliśmy do takiego dużego wąwozu. Tylko piach kurzył się za nami. Zanim Niemcy przygotowali się do walki, byliśmy już za laskiem. Niemcy mogli zauważyć jedną lub dwie fury, lecz nie więcej. Później dowiedzieliśmy się, że zaraz po naszym wycofaniu się nadjechały dwa samochody własowców. Własowcy wspomagali Niemców. Gdybyśmy ruszyli później, na pewno musielibyśmy natknąć się na te samochody. Gdybyśmy przyjęli walkę, Niemcy zapewne wytłukliby nas. Nasz żołnierz nie był wyćwiczony dobrze strzelać. Żołnierz miał stena i było dwa - trzy erkaemy. Innej broni nie mieliśmy.

Do grupy walczącej pod Marysinem Oleś nie przydzielili mnie. W tym czasie byłem w Kadawczyku. Wiadomość o klęsce pod Marysinem przekazał nam gospodarz z Kadawczyka. Nazywał się chyba Kowalski. Kowalski przyszedł do nas i powiedział, że Turski zginął. Gdy został ranny, podobno zabił się granatem. Razem z Turskim był "Aekin". Później "Aekin" przywiózł mi na furze moje rzeczy, które pożyczyłem Turskiemu. Były to kurtka kożuszana i ciepła czapka. Czapki nie nałożyłem już nigdy... Turski był w moim patrolu. Był bardzo zdolnym chłopakiem, miał wielki zasób wiadomości. Można było rozmawiać z nim bez końca. Sądzę, iż był znacznie zdolniejszy od swojego brata. Wydaje mi się niekiedy, że gdybym był pod Marysinem, może nie doszłoby do śmierci Turskiego.

W grupie, która zginęła pod Marysinem, byli chłopcy, których określano mianem warszawiaków. Jeden z nich grał na harmonii, był kelnerem w jakiejś restauracji. Kiedy został spalony, przyszedł do nas. Więcej informacji o tych chłopcach nie posiadam.

Porucznika "Danka" określiłbym jako człowieka, który lubił za dużo. W tym czasie gdy "Danek" jechał "na zasięg języka", cały oddział czekał na jego powrót w Kadawczyku czy koło Kadawczyka. Porucznik "Danek" pojechał na kontakt - miał dowiedzieć się, czy będzie zrzut, czy nie. To było bardzo odpowiedzialne, duże zadanie. W drodze powrotnej "Danek" wstąpił do restauracji, znajdującej się przy szosie. Tam trochę popił. Trafił na niego nasz policjant. Z drugiej strony, od Krasnika, jechały samochody z Ukraińcami. Słyszeliśmy strzelaninę. Zginęło dwóch chłopców, których "Danek" wziął ze sobą. Sam porucznik został ranny w nogę. Uciekł stamtąd na jakąś melinę, gdzie go wyleczyli.

Przeciw "Dankowi" wszczęto dochodzenie. Po jakimś czasie przyszedł do mnie Oleś: "Danek dostał karę śmierci. Może ty się zgodzisz?". Odpowiedziałem dowódcy: "Wie pan, poruczniku, ja nie nadaję się do tego. Niech dowództwo decyduje". Ogłosił się wtedy Tadeusz, który miał z "Dankiem" jakieś porachunki. Nie sądzę, aby "Danek" był w porządku. Zbierał nasze fotografie. Nie wiem, czy zdjęcia robił nasz "Propaganda" z brodą, czy też jakiś inny fotograf. "Danek" miał te wszystkie zdjęcia oddać, aby wyrobili nam dowody. Mówił, że zdjęcia oddał, a dowody są już zrobione. Jednak "Danek" zatrzymał te zdjęcia przy sobie. Podobno kiedy został ranny, sprawdzili go i znaleźli przy nim wszystkie nasze zdjęcia. Ponieważ "Danek" był oficerem, trzymałem się z daleka od jego spraw i jako żołnierz nawet nie próbowałem dojść prawdy.

W związku z wyrokiem śmierci wykonanym na "Danku" krążą różne pogłoski. Jedni mówią, że zastrzelili go na furze, inni,

że został rozstrzelany. Wiem tylko, że pojechali tam Oleś i Tadeusz Kręgliński. Gdy wrócili, powiedzieli tylko tyle: "Już!" Później Tadeusz zrywał się nocą i krzyczał. "Usiało go to mocno poruszyć."

O "Danku" wiem niewiele. Pamiętam, że trochę zaciągał po poznańsku. Wiadomo było, że miał nadmierne skłonności do kobiet. Zdania o nim są bardzo różne. Więcej o nim mogliby powiedzieć Oleś i Leszek Lurski, który prowadził kartotekę lub może "Żaba" i "Lusnia", którzy już nie żyją.

Kiedy wycofywaliśmy się z Ładawczyka, zginął "Śmiały". "Śmiały" był bardzo dobrym człowiekiem. Jednak czuł się zbyt pewny siebie. Był wówczas w swoich stronach. Lecz kto to słyszał, aby w biały dzień jechać do kowala podkuć konia! Niemcy, wyposażeni w lornetki, dokładnie lustrowali teren. Nie było możliwości, aby "Śmiały" nie został przez nich zauważony. Niemcy ruszyli na pewniaka. "Śmiały" miał ze sobą tylko pistolet. Zginął on i kowal. Po raz pierwszy to mówię, lecz sądzę, iż przesadna pewność siebie zgubiła "Śmiałego".

Pewna moja decyzja wywołała kiedyś wiele kontrowersji. Miałem wtedy patrol. Przejeżdżał "Werwa". Kiedy go przepuściłem, opowiedział mi, co wyprawia dwóch naszych żołnierzy: "W jednym miejscu mają bimber, przenoszą tam rąbankę z innego miejsca i hulają". Chłopcy nie byli z mojego patrolu, byli chyba od "Wisa". Pomimo tego, sam wymierzyłem im karę. Wziąłem kawałek kija, zaprowadziłem do stodoły i kazałem, aby obłożyli się wzajemnie po dziesięć razy kijem. Na przemian jeden bił drugiego. Później byli na mnie trochę obrażeni. Możliwe, iż jedni byli zadowoleni, lecz innym nie podobało się to, co zrobiłem. Osobiście bardzo nie lubiłem, gdy żołnierze nie potrafili zachować się właściwie.

Do naszego oddziału przyszedł - jako spalony - "Cis". Przydzielono mu później dowództwo plutonu. Po jakimś czasie odwiedziła pluton jego żona lub narzeczona. Kilka dni nawet była przy oddziale. Jednak sprzeciwił się temu Oles i gdzieś ją odesłano. "Cis" był bardzo koleżeński i lubiany. Jego wadą było to, iż lubił wdawać się w dyskusje z Rosjanami. Nie pamiętam dokładnie, skąd wzięli się u nas Rosjanie. Szesciu Rosjan było na elewatorze zbożowym i do oddziału przyprowadził ich jakiś chorąży. Przytaskali ze sobą tylko jeden karabin rozłożony na kawałki. Oles rozdzielił ich. Do każdego plutonu dał po dwóch Rosjan. U mnie także było ich dwóch, jednak byli krótko. Jeden był "Dziobaty", niechętny do roboty. Drugi Rosjanin rwał się do pracy, bardzo lubił konie. Z Rosjan w plutonie "Cisa" był "Cygan". "Cygan" był buchalterem, inteligentny i grzeczny. Kiedyś doszło do bójki pomiędzy "Cyganem" i Rosjaninem z mojego plutonu. Ten mój Rosjanin był pijany, złapał za bagnecik i rzucił się na "Cygana". Znajdowałem się w pobliżu. Doskoczyłem do nich i rozdzieliłem. Swojemu Rosjaninowi zabrałem bagnecik. Do tym zajściu zwróciłem się do dowódcy, aby zabrał ode mnie obydwu Rosjan: "Nie chcę żadnego mieć u siebie!". "Cis" zlitował się nad nimi i wziął ich do siebie. Później "Cis" mówił, że po wejściu Rosjan, któryś z tych żołnierzy zaaresztował go.

Kiedy oddział "Szarugi" został podzielony, trafiłem do "Jemioły". Prosiłem Olesia, aby zostawił mnie u siebie. On jednak nie zgodził się: "Nie. Już jest podzielone. Jak będziesz chciał, niech zwolni cię "Jemioła" i w każdej chwili możesz do mnie wrócić". Tak też się stało. Trochę pobylem u "Jemioły" i wróciłem do "Szarugi".

Rozątkowo był tam "Powój", który podejmował decyzje.

W moim przekonaniu "Powój" w ogóle nie zachowywał się tak, jak przystało na oficera wojskowego. Podejmował bardzo lekkomyślne, nierozważne decyzje. Niedługo poprowadził nas wprost do dołu. Kazał nam schować się w tym dole przed oczekiwanym przejazdem wroga. Od razu pomyślałem, że "Powój" decyduje głupio, gdyż znajdując się w dole, zostalibyśmy z łatwością okrążeni i rozstrzelani.

Później na miejsce "Powoja" przyszedł "Jemioła". "Jemioła" był bardzo energicznym oficerem. Dzięki temu, że napływało do niego coraz więcej oficerów, poprosiłem go o przeniesienie ponownie do "Szarugi". Było to we wsi niedaleko Dychawki. Wróciłem do Olesia, który znajdował się w odległości około sześciu kilometrów od nas. Już do końca byłem z Olesiem.

Po wejściu Rosjan cały oddział przyszedł do Lublina. Niedługo po przyjeździe do Lublina, mój najmłodszy brat dowiedział się, że idzie oddział "Szarugi". O tym, iż jestem w oddziale "Szarugi", brat dowiedział się wcześniej od Tomasza, będąc u kuzyna w Motyczu. Brat dał znać rodzinie. Na nasze spotkanie wyszła żona z dzieckiem. Czekala na zakręcie przy katedrze. Córka miała wtedy osiem - dziewięć miesięcy. Szliśmy w defiladzie. Defiladę w Lublinie prowadził oficer radziecki. Olesia z nami nie było. Był tylko "Żaba" i "Zygota". "Zygota" był ryzykantem - za bardzo odważny, zbyt pewny siebie.

Zatrzymaliśmy się w budynku Kuratorium przy ulicy 3-go Maja. Zakwaterowali nas tam w kilku pokojach na pierwszym piętrze. Byliśmy tam przez kilka dni, czekając na decyzję. Część z naszych była w tym czasie na Zmigrodzie u Gralewskiej. Tam podobno naradzali się z Olesiem, czy iść do wojska. Zostaliśmy skierowani do wojska.

Jechalismy furmankami. Mielismy dostać się do dowództwa. Nie pamiętam, do jakiej miejscowości dojechalismy, było to już za Radzyniem. Kiedy popatrzyłem na to wszystko, wojsko zupełnie nie podobało mi się. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego nie podobało mi się, lecz nie widziałem tam dla siebie miejsca. Następnego dnia poprosiłem "Szarugę", o zniszczenie moich dokumentów. Wiem, że Oles był trochę niezadowolony z tego, iż chcę odejść. Jednak nie robił mi trudności i dokumenty, zgodnie z prośbą, zniszczył. Postanowiłem wrócić do Lublina. Uważałem, iż moim obowiązkiem jest skontaktować się ze swoim pierwszym oficerem. Porucznika "Dęba" jednak nie spotkałem.

W Lublinie spotkałem podchorążego Zenka Nowaka. Było to koło kina przy ulicy Bernardyńskiej. Poradziłem się Zenka, co mam robić. Zenek powiedział mi: "Wiesz co, najlepiej idź do wojska i nie mów ani słowa o tym, że byłeś gdzie indziej". Więcej Zenka nie spotkałem. Po wojnie dowiedziałem się, że jest w Warszawie. Zajmował jakieś ważne stanowisko.

Idąc za radą Zenka Nowaka, postanowiłem jechać do Warszawy. Zameldowałem się w RK-u jako podoficer. Oddziały stacjonowały na trasie Kraśnik - Łajsławice. Dowódcą tej jednostki był Wiączkowski. Zostałem skierowany do zwiadu. Oni jeszcze nie było. Jakiś porucznik, spotkawszy mnie chodzącego po placu, zapytał co tu robię. Zdecydował: "Za dwa dni będziesz gdzie indziej". Skierował mnie do żandarmerii. Później ten przydział kojarzyłem z faktem, iż nosiłem zieloną koszulę ze spadochronu i angielski mundurek. Po dwóch dniach, zgodnie z rozkazem, znalazłem się w żandarmerii. Żandarmerię rozwiązano już po miesiącu.

Zamiast do swego zwiadu, dostałem skierowanie do Trawnika. Przyjechałem do Lublina i przenocowałem w domu. Następnego

dnia pojechałem do Trawnik. W Trawnikach przyjęto mnie z oburzeniem: "Aż tyle czasu potrzebowałeś, aby przejść jedenaście kilometrów!" Popatrzyłem na tych młodych podoficerów i wszystko spokojnie wytłumaczyłem. Oficerowie na to: "Tu jeden już był taki podoficer z Lublina, co zabrał cały pluton i uciekł". Odpowiedziałem, że przyszedłem do wojska nie po to, aby uciekać. Skierowali mnie znowu do zwiadu. Dowódcą był porucznik Wacław Dunia. Pochodził z Garbowa, to był bardzo fajny człowiek. Zbieranie żołnierzy trwało kilka dni. Po sformowaniu oddziału otrzymaliśmy rozkaz dołączenia do frontu. Dzięki temu, że mieliśmy konie i wozy, zdążyliśmy na defiladę wojska przed Rolą-Żymfrskim. Defilada odbyła się w Kutnie.

Do frontu dołączyliśmy już pod niemiecką granicą. Byłem w zwiadzie w VII Dywizji II Armii. Na froncie byłem dowódcą sekcji. Nikt z moich chłopców nie zginął, tylko jeden został ranny w nogę. Co noc musiałem chodzić z tymi chłopakami "na zasięg języka". Wszyscy moi chłopcy byli tacy, co to nie mieli prawa być w domu, gdyż zabraliby ich gdzie indziej.

Po zakończeniu frontu cała VII Dywizja została skierowana do Laubanu. Część naszych koni była wystrzelana, a pozostałe już nie miały siły dalej iść. Konie musieliśmy oddać. Jechaliśmy na rowerach, zdobytych na terytorium niemieckim. Znajdowała się tam wytwórnia rowerów. Rowery były wojskowe, dobrze dobrane. Nadal pracowaliśmy jako zwiad, lecz korzystaliśmy z rowerów. Po przebyciu frontu trafiliśmy na kwatery. Na kwaterach było już całkiem inaczej. Ale cóż! My nie mieliśmy swoich oficerów. Mieliśmy wyłącznie rosyjskich oficerów. Porucznik Dunia pobył z nami tylko trochę. Wkrótce zachorował i odesłali go do szpitala w Poznaniu. Gdy później go spotkałem, był już w cywilu. Po powrocie z wojska "Kania" przyniósł mi do domu mój dowód osobisty i legitymację. "Kania" wtedy był rzekomo ujawniony.